



PRZEWODNIK

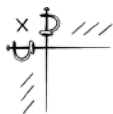


DLA
DAMY
PO HALKACH
I KORSARSTWIE

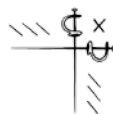
Mackenzi Lee

Young



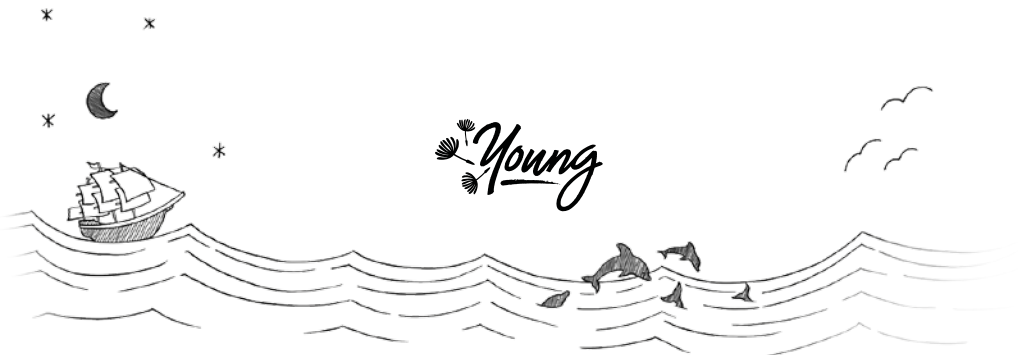


Mackenzi Lee



PRZEWODNIK
DLA
DAMY
PO HALKACH
I KORSARSTWIE

PRZEŁOŻYŁA
Daria Kuczyńska-Szymala



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Lady's Guide to Petticoats and Piracy

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Agata Garbowska

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Małgorzata Lach

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

Zdjęcie na okładce: © Michael Frost

Wyklejka: © David Curtis

Typografia: © Carla Weise

DTP: MELES-DESIGN

THE LADY'S GUIDE TO PETTICOATS AND PIRACY

© 2018 by Mackenzie Van Engelenhoven

Copyright © 2021 for the Polish edition
by Young an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation
by Daria Kuczyńska-Szymala, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2021

ISBN 978-83-66967-35-9



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiectwo

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

Dla Janell, która pokochałaby tę książkę.

Tylko mi nie mówcie, że kobiety
nie nadają się na bohaterki*.

— Qiu Jin

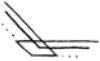
Przed posażną panną stanęło wielkie wyzwanie, wielkie poszukiwanie. Życie przed nią było niczym nieznanne morze na mapie. Musiała odnaleźć siebie, odnaleźć swoją drogę, odnaleźć swoje powołanie.

— dr Margaret Todd, *The Life of Sophia Jex-Blake*

* F. Cavallo, E. Favilli, *Opowieści na dobranoc dla młodych buntowniczek 2*, tłum. Ewa Borówka, s. 149. Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki.



EDYNBURG
XVIII W.





Odgryzam właśnie wielki kawałek lukrowanej bułeczki, gdy Callum ucina sobie palec.

Piekarnia jest już zamknięta, a latarnie przy Cowgate zostały zapalone. Rzucają kręgi gęstego jak syrop światła pośród zmierzchu. Robimy to, co zwykle o tej porze: ja zmywam naczynia, a Callum je wyciera. Zawsze kończę pierwsza, więc kiedy czekam na niego, żeby podliczyć kasę, sięgam po wypieki, które zostały z tego dnia. Na ladzie nadal leżą trzy lukrowane bułeczki, na które zerkałam przez cały dzień – Callum dosłownie zalewa je lepką, przejrzystą polewą, jakby chciał wynagrodzić klientom te wszystkie lata, kiedy jego ojciec, który wcześniej prowadził piekarnię, bardzo jej skąpił. Bułeczki zaczynają się zapadać po całym dniu czekania na nabywcę, a wisienki osuwają się z wierzchów na boki. Na szczęście względy estetyczne nigdy nie były dla mnie jakoś szczególnie istotne. Wsunęłabym z radością bułeczki o wiele brzydsze od tych.

Callum zawsze był trochę nerwowy i nieśmiały, ale dziś przechodzi samego siebie. Rano nadepnął na formę do masła, aż się rozpękła na pół, i przypalił dwie blachy brioszek. Niezgrabnie odbiera każde naczynie, które mu podają, i wbija wzrok w sufit, gdy próbuję prowadzić rozmowę, a jego rumiane policzki robią się coraz czerwieńsze.

Nie przeszkadza mi, że zwykle prowadzę konwersację za nas oboje. Nawet w te dni, gdy Callum jest wyjątkowo

gadatliwy. Jemu to chyba odpowiada. Gdy kończy wycierać sztucce, mówię mu właśnie o tym, ile już czasu minęło, od-
kład wysłałam kolejny list do Szpitala Królewskiego w spra-
wie przyjęcia mnie na praktykę, i o prowadzącym prywatny
gabinet doktorze, który w zeszłym tygodniu na moje pytanie
o możliwość udziału w przeprowadzanej przez niego sekcji
zwłok odpowiedział listem zawierającym dwa słowa: „Nie,
dziękuję”.

– Chyba powinnam zmienić podejście – stwierdzam, sku-
biąc kawałek lukrowanej bułeczki i unosząc go do ust, choć
doskonale wiem, że na jeden raz się nie zmieści.

Callum odrywa wzrok od noża, który wyciera, i woła
„Czekaj, nie jedz tego!” tak gwałtownie, że zamieram, on też
wtedy nagle nieruchomieje, a nóż przebija ścierkę i nacina
opuszkę jego palca. Słysząc ciche plum, gdy odcięty kawałek
czek palca ląduje w wodzie po zmywaniu.

Krew pojawia się od razu, kapie z jego dłoni do pianistej
wody, a jej krople rozkwitają pośród mydlin niczym rozwi-
jające się kwiaty maków. Twarz Calluma blednie, gdy patrzy
na swoją rękę, a potem mówi:

– Ojej.

Muszę przyznać, że jeszcze nigdy w obecności Calluma
nie byłam tak podekscytowana. Nie pamiętam, kiedy ostat-
nio tak się podnieciłam. Oto mam przed sobą najprawdziw-
szy przypadek medyczny, a w pobliżu żadnego doktora, który
odepchnąłby mnie z drogi, żeby się nim zająć. Z kawałkiem
obciętego palca Callum wydaje mi się nagle niezwykle inte-
resujący.

Przerzucam w wyobraźni stronice kompendium wiedzy
medycznej, jakie zgromadziłam w głowie przez lata stu-
diów, i jak zwykle natrafiam na *Traktaty o krwi ludzkiej*

i jej przemieszczaniu się w ciele doktora Aleksandra Platla. Pisze w nich, że dłonie to skomplikowane instrumenty: każda liczy dwadzieścia siedem kości, cztery ścięgna, trzy główne nerwy, dwie arterie, dwie podstawowe grupy mięśni i skomplikowaną sieć naczyń krwionośnych, której wciąż nie opanowałam, a wszystko to owinięte tkanką, skórą i zakończone paznokciami. Skupiają się w nich funkcje czuciowe i motoryczne, biegnące od dłoni ku ramieniu, które mają wpływ na wszystko, od umiejętności wzięcia szczypty soli po zginanie ręki w łokciu. Każdą z tych funkcji może uszkodzić źle przyłożony nóż.

Callum, sparaliżowany niczym królik po zatrzaśnięciu się wnyków, z szeroko otwartymi oczami wpatruje się w swój palec i nawet nie próbuje zatamować krwi. Wyrwam mu ścierkę z dłoni i owijam nią czubek palca, bo priorytet w przypadku intensywnie krwawiących ran to pamiętanie o tym, że krew jest o wiele bardziej potrzebna w środku niż na zewnątrz. Przesiąka przez materiał niemal natychmiast, a moje dłonie robią się czerwone i lepkie.

Z lekkim rumieńcem dumy zauważam, że nie drżą w najmniejszym stopniu, nawet po przyptywie ekscytacji, który nastąpił, kiedy doszło do amputacji opuszki. Czytałam medyczne księgi. Studiowałam anatomiczne ryciny. Kiedyś rozciąłam własną stopę w dość niefortunnej próbie zrozumienia, jak z bliska wyglądają błękitne żyłki, które widzę pod skórą. I choć książki o medycynie tak się mają do jej praktykowania jak ogrodowa kałuża do oceanu, to jestem do tego przygotowana najlepiej, jak tylko mogę.

Nie tak wyobrażałam sobie przyjęcie swojego pierwszego prawdziwego pacjenta w Edynburgu – na zapleczu małej piekarni, w której haruję, żeby jakoś utrzymać się pomiędzy

nieustannie odrzucanymi prośbami słanymi na uniwersytet i do wszelakich prywatnych doktorów z błaganem o możliwość praktyki. Jednak po całym roku jestem gotowa skorzystać z każdej okazji, jaka się nadarzy, by wypróbować zdobytą dotąd wiedzę. Darowane konie, zęby i tak dalej.

– Usiądź tu, proszę. – Prowadzę Calluma do stołka za ladą, gdzie przyjmuję pieniądze od klientów piekarni, bo umiem wydawać resztę szybciej niż pan Brown, drugi pracownik. – Podnieś rękę powyżej głowy – instruuję go, by grawitacja pomogła zmniejszyć wpływ krwi. Wykonuje polecenie. Zanurzam dłoń w zlewie w poszukiwaniu zbląkaney opuszki. Natrafiam najpierw na kilka oślizgłych kawałków ciasta, ale wreszcie ją mam.

Wracam do Calluma, który trzyma obie ręce nad głową, przez co wygląda, jakby się poddawał. Jest biały jak mąka, a może rzeczywiście ma twarz przyprószoną mąką. Nie należy do pedantów.

– Jest bardzo źle? – duka.

– Cóż, dobrze nie jest, ale z pewnością mogło być gorzej. Daj mi spojrzeć.

Zaczyna odwiązywać ścierkę, lecz ja uściślam:

– Nie, opuść ręce. Nic nie zobaczę tak wysoko.

Krwawienie nie ustało, ale spowolniło na tyle, że mogę odsłonić ścierkę na moment, by spojrzeć. Palec jest mniej uszkodzony, niż się spodziewam. Callum odciął sobie spory kawałek opuszki i wyciął krzywy półksiężyc w paznokciu, ale kość jest nietknięta. Jeśli ktoś musi stracić część palca, to najlepiej właśnie tę.

Naciągam skórę z obu stron, by przykryć ranę. Mam w torbie zestaw do szycia, bo tej zimy trzy razy urwał mi się guzik od płaszcza i miałam dość chodzenia w upiornym

wietrze znad Nor Loch z powiewającymi połami. Żeby przytrzymać płatki skóry, wystarczą trzy szwy – w stylu, którego nauczyłam się nie z *Chirurgii ogólnej*, lecz z podstępnej poszewki na poduszkę, na której matka kazała mi wyhaftować jakiegoś idiotycznego psa. Między szwami pojawia się kilka kropel krwi, marszczę brwi na ich widok. Gdyby to była poszewka, sprułabym szwy i spróbowała jeszcze raz.

Biorąc jednak pod uwagę, jak niewielkie mam doświadczenie z szyciem po amputacji – szczególnie tak drobnym i delikatnym – i jak dobrze udało mi się zahamować krwawienie, pozwalam sobie na chwilę dumy, zanim przejdę do kolejnego priorytetu z traktatu doktora Platta o ranach ciała: zapobiegnięciu infekcji.

– Nie ruszaj się – mówię, jakby Callum miał taki zamiar. – Zaraz wracam.

W kuchni podgrzewam wodę na ciepłym i chętnym do pracy piecu, aż zaczyna wrzeć, potem dodaję wina oraz octu i zamaczam w niej czystą szmatkę. Wracam do Calluma, który nadal siedzi przy ładzie, wytrzeszczając oczy.

– Chyba nie masz zamiaru... Naprawdę musisz... ciąć? – pyta.

– Nie, cięcie załatwiłeś ty – odpowiadam. – Niczego nie będziemy już amputować, tylko oczyszczę.

– Och. – Patrzy na butelkę wina, którą trzymam w ręku, i przełyka ślinę. – Uznałem, że chcesz mnie znieczulić.

– Pomyślałam, że możesz mieć ochotę.

Podaję mu butelkę, lecz on nie korzysta.

– Odkładałem to wino na specjalną okazję.

– Niby jaką? Podaj mi dłoń. – Nasączoną gorącą wodą z alkoholem i octem szmatką oczyszczam szew, który jest o wiele ładniejszy, niż mi się wydawało: jestem dla siebie

zbyt surowa. Callum kaszle, nadymając policzki, gdy uderza go ostry zapach octu. Potem owijam palec kawałkiem gazy do robienia sera, zawiązuję i wsuwam końcówki pod spód.

Zaszyte, zabandażowane, załatwione. A ja się nawet nie spociłam.

Fakt, że przez cały rok mężczyźni powtarzali mi, że jestem niezdolna do tej pracy, tylko wzmacnia moją dumę i po raz pierwszy od wielu długich, zimnych i zniechęcających miesięcy czuję, że jestem tak samo umiejętna, sprawna i zdolna do wykonywania zawodu lekarza jak każdy z tych, którzy odmawiają mi do niego dostępu.

Wycieram ręce w spódnicę i prostuję się, obrzucając spojrzeniem piekarnię. Poza wszystkim innym, co trzeba zrobić, zanim zamkniemy ją na noc, musimy ponownie umyć naczynia. Na podłodze rozciąga się długa struga krwi, którą należy wyszorować, zanim zaschnie, kolejną mam na rękawie, a spryskany juchą fartuch Calluma trzeba namoczyć na noc. Ponadto musimy się pozbyć opuszki.

Callum bierze długi głęboki wdech, a potem ze świstem wypuszcza powietrze, ściągając wargi. Ogląda swoją dłoń.

– Cóż, to zepsuło wieczór.

– Przecież tylko zmywaliśmy.

– Miałem... coś jeszcze. – Przyciska podbródek do piersi. – Dla ciebie.

– A to nie może poczekać? – pytam. Już obliczam, ile czasu Callum będzie niezdolny do obsługi pieców, czy pan Brown da radę jakoś pomóc, ile mi to zabierze czasu w tym tygodniu, który planowałam przeznaczyć na napisanie szkicu traktatu o równym dostępie do edukacji.

– Nie, to nie... To znaczy... Wydaje mi się... że mogłoby, ale... – Skubie końcówki bandażu, ale przestaje, zanim zdąży

go za to zrugać. Nadal jest blady, lecz rumieniec powoli wraca na jego policzki. – To nie może długo czekać.

– To coś do jedzenia? – pytam.

– To coś... Poczekaj tutaj. – Zrywa się chwycenie z miejsca mimo moich protestów i znika w kuchni.

Nie zauważyłam tam nic szczególnego, gdy dodawałam do wody wino i ocet, ale też niczego nie szukałam. Sprawdzam, czy na pewno mam czyste dłonie, a potem pałaszuję lukrowaną bułeczkę, którą sobie wcześniej upatrzyłam.

– Nie nadwerężaj się! – wołam za Callumem.

– Nie mam zamiaru – odpowiada, po czym natychmiast rozlega się brzęk, jakby przewrócił jakąś puszkę. – Nic mi nie jest. Nie wchodź tutaj!

Pojawia się znów za ladą, coraz bardziej zarumieniony, a z rękawa kapie mu mleko, które zapewne właśnie rozlał. Trzyma przed sobą porcelanowy talerz, na którym dumnie prezentuje się idealny ptyś.

Aż mnie ściska w żołądku. Widok tego wypieku wywołuje we mnie dreszcz, jakiego nie zdołała wzbudzić fontanna krwi.

– Co ty jesz? – docieka w tym samym momencie, gdy ja pytam:

– Co to jest?

Stawia talerz na ladzie i wskazuje go szerokim gestem zdrowej dłoni.

– Oto ptyś.

– To widzę.

– Tak dokładniej... bo wiem, że cenisz precyzję...

– Owszem, cenię.

– ...tak dokładniej to jest ptyś, którego ci dałem w dniu, kiedy się poznaliśmy. – Uśmiech Calluma nieco blednie, gdy uściśla: – Cóż, to nie jest dokładnie ten sam. To było wiele

miesiący temu. I skoro go wtedy zjadłaś, zresztą nie tylko tamtego...

– Dlaczego go dla mnie zrobisz?

Patrzę na spiętrzone między dwiema warstwami ciasta ptysiowego zawijasy gęstej śmietany. Callum nigdy nie był delikatny w swoim rzemiośle, jego bochenki i ciasta wyglądają wręcz rustykalnie, widać, że piekł je pochodzący z porządnej szkockiej rodziny piekarz o wielkich dłoniach. Ale ptys jest taki ładny, taki dopieszczony... Jejku, nie wierzę, że tak dokładnie wiem, jaki to rodzaj wypieku i jak ważne jest, żeby ostudzić ciasto, zanim wmiesza się do niego jajka. Cały ten piekarniczy nonsens zajmuje istotną część mojego mózgu, tę, którą powinny wypełniać uwagi o leczeniu tętniaka podkolanowego i innych rodzajów przepuklin opisanych w *Rozważaniach o przepuklinach*, które z takim trudem starałam się zapamiętać.

– Może lepiej usiądźmy – mówi Callum. – Trochę... trochę mi słabo.

– Pewnie dlatego, że straciłeś sporo krwi.

– Albo... Tak. To pewnie przez to.

– To naprawdę nie może poczekać? – pytam, prowadząc go do jednego ze stolików gęsto ustawionych z przodu sklepu. Niesie ptysia, który kołysze się na talerzu w jego roztrzęzionych dłoniach. – Powinieneś pójść do domu i odpocząć. I przynajmniej jutro zamknąć sklep. Chyba że pan Brown będzie nadzorować czeladników i wszystko uprościmy. Z bułkami jakoś sobie poradzą. – Callum robi gest, jakby chciał odsunąć dla mnie krzesło, ale nie pozwalam mu. – Jeśli upierasz się to kontynuować, to przynajmniej usiądź, zanim się przewrócisz.

Zajmujemy miejsca naprzeciwko siebie obok zimnego zawilgoconego okna. W głębi ulicy zegar na wieży kościoła Świętego Idziego wybija godzinę. Budynki przy Cowgate szarzeją w półmroku, niebo też jest szare i każdy, kto mija piekarnię, wygląda jak otulony szarą wełną. Mam wrażenie, że nie widziałam innego koloru, odkąd trafiłam w to zapomniane przez Boga miejsce.

Callum stawia ptysia na stole między nami, a potem gapi się na mnie, miętosząc rękaw.

– Och, wino.

Rzuca okiem na ladę, najwyraźniej stwierdza, że nie warto po nie wracać, i znów przenosi wzrok na mnie, kładąc dłonie na blacie. Kłykcie ma popękane od suchej zimowej aury, paznokcie krótkie i poobgryzane po bokach.

– Pamiętasz pierwszy dzień, gdy się spotkaliśmy? – pyta nagle.

Patrzę na ptysia, a strach rozprzestrzenia mi się po brzuchu niczym kropla inkaustu w wodzie.

– Pamiętam wiele dni.

– Ale tamten konkretny?

– Tak, oczywiście.

To był upokarzający dzień – nadal boli, gdy o nim pomyślę. Napisawszy trzy podania o przyjęcie na uniwersytet i nie otrzymawszy choćby słowa odpowiedzi, postanowiłam osobiście udać się do rektoratu i upewnić się, że dotarły. Gdy tylko podałam sekretarzowi swoje nazwisko, poinformował mnie, że w rzeczy samej otrzymali korespondencję ode mnie, ale nie, nie przekazano jej radzie uczelni. Moje podania odrzucono, nawet ich nie czytając, bo jestem kobietą, a kobiety nie mogą zapisywać się na kursy medyczne. Wyprowadził

mnie z budynku trzymający wartę strażnik, co uznałam za zbytek łaski, choć skłamałabym, gdybym nie przyznała, że rozważałam minięcie pędem sekretarza i wparowanie do sali rady bez pozwolenia. Noszę praktyczne obuwie i potrafię szybko biegać.

Po owym bezceremonialnym wyproszeniu mnie na ulicę pocieszyłam się w piekarni naprzeciwko, topiąc smutki w ptysiu, który przygotował dla mnie krągłolicy piekarz o figurze wskazującej na to, że ma aż za dużo styczeńności ze słodkimi wypiekami. Gdy chciałam zapłacić za ciastko, zwrócił mi pieniądze. A gdy je kończyłam, dokładnie przy tym stoliku pod oknem (och, Callum naprawdę wzbіл się na wyżyny sentymentalizmu, sadzając nas właśnie tutaj), podszedł z kubkiem grzanego cydru i po miłej pogawędce zaoferował mi pracę.

Wyglądał wtedy tak, jakby chciał w mroźny dzień zwabić kąśliwego psa, żeby położył się przy jego kominku. Jakby wiedział, co jest dla mnie najlepsze, jakby moje serce można było czymś skusić. Teraz też tak wygląda, gdy szczerym gestem daje mi takiego samego ptysia i tak przyciska podbródek do piersi, że patrzy na mnie spod brwi.

– Felicity – mówi drżącym głosem. – Znamy się już jakiś czas...

– Owszem – odpowiadam, czując coraz większy lęk.

– A ja bardzo cię polubiłem. Co zresztą wiesz.

– Tak.

To prawda. Po paru miesiącach przeliczania monet bok w bok w ciasnej przestrzeni za ladą i przyjmowania z jego rąk tac z ciepłymi bułeczkami stało się oczywiste, że podobam się Callumowi w taki sposób, w jaki on mnie nie spodoba się nigdy. I choć od jakiegoś czasu wiedziałam o jego

skłonności ku mnie, uważałam, że nie jest to sprawa, która wymagałaby ode mnie pilnej reakcji.

Lecz on teraz daje mi ptysia i wspomina. I mówi, że bardzo mnie lubi...

Aż podskakuję, gdy bierze mnie za rękę – to impulsywny, odruchowy gest. Wycofuje się błyskawicznie, a ja czuję się okropnie, że tak zareagowałam, więc wyciągam dłoń zapraszającym gestem i pozwalam mu na drugie podejście. Dłonie mu się pocą, a w moim uścisku jest tak niewiele entuzjazmu, że zapewne ma wrażenie, jakby obejmował palcami filet z ryby.

– Felicity – mówi i znów powtarza: – Bardzo cię lubię.

– Tak – odpowiadam.

– Bardzo.

– Tak.

Staram się skupić na tym, co mówi, a nie na tym, jak uwolnić dłoń, nie raniąc jego uczuć, oraz czy jest możliwy jakiś scenariusz, w którym zdołam wyjść z tego z ptysiem i bez zobowiązań większych niż trzymanie Calluma przez chwilę za rękę.

– Felicity – mówi ponownie, a gdy podnoszę wzrok, nachyla się ku mnie przez stół z zamkniętymi oczami i ustami ułożonymi w dziubek.

No i proszę. Nieunikniony pocałunek.

Gdy się poznaliśmy, byłam tak samotna, że przyjąłam nie tylko ofertę pracy, ale też łączące się z nią towarzystwo, a to sprawiło, że Callum pomyślał to, co mężczyźni często sobie myślą, gdy jakaś kobieta poświęci im nieco uwagi: to znak, że pragnę, by przycisnął do mnie swe usta – a możliwe, że i inne części ciała. A to nieprawda.

Zamykam jednak oczy i pozwalam mu się pocałować.



*Sięgnij
po więcej!*



-  wydawnictwokobiece.pl
-  [kobiece](#)
-  [wydawnictwo.kobiece](#)

Young